

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

940733

iewska

134

WNA

AT

Kamyk i Róża

JEDNOAKTÓWKA



ODBITKA Z "ECHA MUZYCZNEGO"

1505 Tell Place, Chicago, Ill.

(B. J. Z.) WYD. MUZYCZNE (B. J. Z.)

1505 Tell Place, Chicago, Illinois

OSOBY :

Wera — Józia — Sprawiedliwość.

Scena przedstawia skromny pokój mieszkalny.

Scena 1.

W e r a : — Płakać możnaby krwawymi łzami na niesprawiedliwość na świecie. Feralny dzień dzisiaj, czy co?

J ó z i a : — Uspokój się. Nic znów tak złego się nie stało. Nie wszędzie być musimy.

W e r a : — Tobie łatwo tak mówić, bo nie znasz się na pięknie, nie znasz się na artyźmie. Mnie — sztuka do życia potrzebna. Boże, jakie zacofaństwo, jakie to przestarzałe poglądy rodziców, którzy dzieci dorosłe jak my, zamykają w domu, a sami z najstarszą Stefuchną uczęszczają na koncerty i do teatru. A my biedne co, siedzieć musimy w domu i spać nam iść każą jak prostym szkolniakom. Nie mówię, gdybym była złą córką, mieliby rodzice prawo zostawić mnie za karę w domu. Przyszaj Józiu sama, że jestem dobrym dziewczęciem.

J ó z i a : — Jak czasem.

W e r a — (z furją) : — A to mi sąd sprawiedliwy! Czy nie oddają matce mego zarobku, czy nie

185205
chodzę po sprawunki, czy nie uprzętam co rano, jeszcze przed udaniem się do pracy? Czy może kradnę, zabijam, przeklinam, rozderzam się?

J ó z i a : — Czego się unosisz, nikt ci zbrodni nie zarzuca.

W e r a : — Ajednak mnie rodzice jak za zbrodnię karzą.

J ó z i a : — Przesadzasz! Nikt ci przecież głowy nie ścina, nikt cię do więzienia na chleb i wodę nie zamyka.

W e r a : — No, czy nie siedzimy tu jak we więzieniu? Inni idą sobie do teatru, a nas zamykają.

J ó z i a : — Nikt nas przecież nie zamknął.

W e r a : — Naiwne z ciebie jagniątko, idź zobacz.

J ó z i a — (próbując drzwi otworzyć) : — Rzeczywiście zamknięte. Dziwi mnie to ogromnie!

W e r a : — Ciebie to tylko dziwi, a mnie oburza! Jakim prawem to się dzieje?

J ó z i a : — Przychodzi mi na myśl, że to może kara za to, żeś sąsiadkę wyzwała!

W e r a — (z ironją) : — A może to za ową groszową szklanekę, którą stłukłam.

J ó z i a : — A może, gdyż ze złości ją do stóp mamie rzuciłaś.

W e r a — (tupiąc nogą) : — Ty mi będziesz sędzią?

J ó z i a : — No nie, nie! Przepraszam cię, już nic nie mówię. Ale to wiedz, że gdybym była starszą, nie ucichłabym tak potulnie.

W e r a : — Twoje szczęście, że ustępujesz!

J ó z i a : — Żal mi, żeś tak niesprawiedliwa.

W e r a: — Co ja? Kocham sprawiedliwość ponad wszystko! A ty mi śmiesz niesprawiedliwość zarzucić? Obie nie jesteśmy niesprawiedliwe, ale rodzice są nimi, skoro nas pozostawianiem w domu krzywdzą.

J ó z i a: — Rodzicom wolno tak postąpić!

W e r a: — Nieprawda! Zabierają Stefę, powinni i nas zabrać!

J ó z i a: — Stefa starsza, rozumniejsza, więcej od nas ze sztuki skorzysta. Za rok lub dwa rodzice i nas zabierać będą, ciebie nawet prędzej, boś starsza.

W e r a: — Tembardziej nauk twych nie potrzebująca.

J ó z i a: — Choćby tem się pociesz.

W e r a — (ziewa).

J ó z i a: — Widzisz, jakaś znużona.

W e r a: — To z nudów, a nie ze zmęczenia.

J ó z i a: — Kto wie?

W e r a: — Z pewnością z nudów. — (Ziewa potwornie).

J ó z i a — (ziewa także): — Zarażasz mnie.

W e r a: — Cóż za to mogę, przecież nie ja wymyśliłam ziewanie.

J ó z i a: — Ziewanie jest dowodem, iż czas udać się na spoczynek.

W e r a: — Za nic w świecie, musimy tak długo siedzieć, aż rodzice ze Stefką powrócą, niech się przekonają, żeśmy już dorosłe i wytrzymałe, że razem z kurami spać nie chodzimy.

J ó z i a: — Ale światła szkoda. Siedzimy, ale nic nie robimy. Światło kosztuje.

W e r a: — Stary bilet do teatru też kosztował, ona teraz w teatrze też nic nie robi.

J ó z i a: — Czy chcesz, aby w teatrze cerowała pończochy? Ona tam też ma pracę, bo z uwagą i skupieniem patrzy na scenę.

W e r a: — To my też pracujemy, z uwagą i skupieniem patrzemy na siebie, albo na znane nam ściany.

J ó z i a: — Zazdrość przez ciebie mówi.

W e r a: — Raczej gniew na niesprawiedliwość rodziców. .

J ó z i a: — Zastanawia mnie to niezmiernie, że sprawiedliwość wciąż masz na ustach.

W e r a: — Bo kocham ją, uwielbiam i szanuję ją.

J ó z i a: — A ja prawdziwej sprawiedliwości, to się boję.

W e r a: — Boś głupia. Sprawiedliwość jest czemś tak wspaniałem, która wszystkich równo obdarza.

J ó z i a: — Ale także równo sądzi!

W e r a: — Która nikogo nie krzywdzi.

J ó z i a: — Ale też nic nie przepuszcza.

W e r a: — Która nie upośledza.

J ó z i a: — Ale wszystkich dosięga.

W e r a: — Sprawiedliwość, to imponująca potęga!

J ó z i a: — Dusza się przed nią korzy.

W e r a: — Serce jej zawsze pragnie, ale oczy jej daremnie szukają.

J ó z i a: — Byle ją serce czuło i umysł uznawał, nie potrzeba jej oglądać.

W e r a: — Mam większe od ciebie wymagania.

J ó z i a: — To nic nowego u ciebie.

W e r a: — Chcę sprawiedliwość widzieć.

J ó z i a: — Bądź sama sprawiedliwą, to ją u siebie zobaczysz.

W e r a: — Na nauczycielkę zakrawasz, pamiętaj, żeś młodszą.

J ó z i a: — Pamiętam doskonale, ale żałuję, żeś przerwała tak piękną rozmowę. Lubię cię Wero i kocham, gdy tak poważnie ze mną rozmawiasz i nie dajesz mi odczuć, żeś młodszą.

W e r a: — Przestań, nudzisz mnie.

J ó z i a: — Pomówmy jeszcze choć trochę jak przedtem.

W e r a: — Marudna jesteś! Musisz poczekać, aż powróci mi ochota. Jako młodszą musisz się zastosoować.

J ó z i a: — Mnie się zdaje, iż młodszą być nie jest wcale upośledzeniem. Pomyśl Werciu, to, co ty przeżywasz i co starsi mają poza sobą, to ja mam jeszcze przed sobą. Czeka mnie więcej przeżyć, których jestem ogromnie ciekawą. Tkwi w tem urok prawdziwy...

W e r a — (machnąwszy ręką): — Nudzisz mnie, przestań! — (Ziewa).

J ó z i a: — Zmęczona jesteś, połoź się.

W e r a: — Nie. Zmęczona nie jestem, tylko wynudzona. Tak mi się przykrzy... — (Kładzie łokcie na stół, podpira głowę, ziewa).

J ó z i a: — Zagaśmy światło i udajmy się na spoczynek.

W e r a — (sennie): — Nie mów nic, bo mnie już drażnisz i niecierpliwisz.

J ó z i a: — To nieumyślnie.

W e r a — (pochyla głowę na rozłożone na stole ręce, sennie): — Umyślnie, czy nie umyślnie, to wszystko jedno, daj mi święty spokój.

J ó z i a — (stoi chwilę przy niej, potem cichutko dochodzi do półki, bierze zeszyt i ołówkę, siada przy stole i zaczyna rysować. Niezadługo wstaje, dochodzi do Wery, gładzi jej włosy): — Śpi, twierdziła, że nie była zmęczona. Zamiast położyć się, to tu na stole będzie spała. Co mama i ojciec na to powiedzą, na samą myśl dreszcze mnie przechodzą. Miałyśmy się dawno położyć! Co tu począć, czy zbudzić Wercię? — (Potrząsa zlekka jej ramię). — Nie śmiem jej silniej targać. I chcę i nie chcę, aby się zbudziła. Z dwojga złego, wołę nic. Bo jak ją tu rodzice zobaczą, to nie wiem, co to będzie, a jak ją zbudzę, będzie się siostrzyczka gniewała. Najlepiej byłoby zgasić światło i samej się położyć, czuję, że i moje powieki mi ciężą. Jednak odejść nie mogę, Wera często śpi niespokojnie, spadnie z krzesła i jeszcze się pokaleczy. Niema rady, trzeba zostać. — (Przegląda książki): — Wolę rysować, niż czytać, ale dziwnie mi się nie wiedzie. — (Siada przy stole, otwiera książkę, zagląda do niej, lecz wnet ją odkłada): — Sprawiedliwość, to rzecz przedziwna! Sumienie mi mówi, iż musi to być coś niesłychanie doskonałego, coś, co nie ulega wątpliwości, coś nieuniknionego. Boję się sprawiedliwości, bo sumienie niespokojne. Ile to nieścistości w pracach moich zachodzi, ile to słów marnych

przez dzień się wypowie, jak się to czasem ko-
goś ostrem słowem urazi lub zrani, ile to z
winy samolubstwa uchybień zachodzi, aż
strach pomyśleć. — (Zamyśla się. Po chwili):
— Nie pojmuję Wercia, że tak tej sprawiedliwo-
ści pragnie, przecież sprawiedliwość nietylko
innych, ale i ją samą dosięgnie. — (Podpiera
jedną ręką głowę): — Sprawiedliwość, to coś
nieskalanego i świętego. — (Zamyka oczy): —
Sprawiedliwość... — (Usypia jak przedtem
Wercia przy stole).

Scena 2.

(Rozlegają się ciche tony muzyki. Uchylonemi drzwiami
wsuwa się bez szelestu sprawiedliwość, postać piękna i wy-
niosła w białej todzie z koszykiem kwiatów i dużą wagą.
Staje poza stołem, przy którym są śpiące dziewczęta, o ile
możności na małym, poprzednio przygotowanym wzniesie-
niu. Głosem pełnym powagi i namaszczenia, mówi wolno
i dobitnie):

Jestem sprawiedliwość! Błogosławieni, którzy
łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni bę-
dą nasyceni! Błogosławione dusze z potrzeby
przyzywające mnie do siebie. Błogosławiona
młodzież, która myśli o mnie. Zwierciadłem
jestem życia i czynów waszych. Wiedz Józiu,
próżne twe niepokoje! — (Stawia koszyk na
stole, podnosi rękę z wagą): — Na wadze spra-
wiedliwości czyny twoje zważę. Od zarania życia
byłaś chorem dzieckiem, ale żeś wdzięcznością
odpłacała matce za czuwanie nad tobą, do wagi
życia twego wpadł kwiat wdzięczności. — (Wrzu-
ca różę na szalę wagi). — Za znoszenie boleści

wpadł kwiat cierpliwości i woń roztoczył. —
(Wrzuca drugi kwiat). — Wraz ze zdrowiem po-
wróciła ci żywość dziecięca, lecz splamiła się
kaprysem i psotą — (spuszcza kamień), — co
kamyczkiem spadło na odwrotną szalę. Aż dziw,
co się stało, kamyczek niegodziwości przeważył
wonne cnoty twoje, cięższy był od róż życiowego
zarania. Latka mijały, dobre i złe skłonności
rozpoczęły walkę, ale, że serce zwyciężyło, więc
szala dobra zaczęła szalę zła przeważać!. Spadła
na szalę róża współczucia, fiołek skromności, li-
lijka niewinności i kilka małych kwiatków, dro-
bnych, codziennych cnót dziewczęcych. W prze-
ciwną szalę wpadł niestety kamyczek niedbałości w
pracy, ale wobec przeważających kwiatów cnót
twoich nie dokonał znacznej zmiany, lecz jednak
zaciężył i wagę cnót umniejszył. Spamiętaj to
na całe życie. — (W miarę wyliczania kładzie
kwiaty, lub kamyki). — Dla przypomnienia, iż
masz wytrwać w dobrem, zostawię ci jeden z
kwiatów cnót twoich, aby ci przypominał, że
sprawiedliwość istnieje i wszystko na jej wadze
zważone być musi, zanim biali anieli wynik w
księdze żywota złotem piórem z własnych skrzy-
deł wziętem, zapiszą. — (Kładzie kwiat na stole
przed Józią, potem wypróżnia wagę i zwraca się
do Wery): — Tyś dziecię moje podobna do ómy,
która łaknie słońca, a opala sobie skrzydła w pło-
mieniu świecy, którą słońcem być mniema. Po-
dobnaś do jesiennych liści z drzew już spadłych,
które wiatr miota. Byłaś dzieckiem dobrem,
aniołom podobnem, uśmiechem rozpoczynałaś

życie, radością byłaś rodziców, co różą białą spłynęło do wagi sprawiedliwości. — (Spuszcza różę białą). — Potem spadło mnogo drobnych gałązek dobrych zamiarów i chęci, lecz te niestety, prawie nic nie zaważyły. Pożądałaś mnie nie dla siebie, ale dla drugih, aby tobie lepiej było i kamyk samolubstwa wpadł na szalę. Uwielbiałaś mnie i czciłaś dlatego, że nie upośledzam i nie krzywdzę! Pragnęłaś mnie i pożądałaś, szukałaś mnie dla wrażeń i pięknych wyobrażeń, nie dla czynu. Byłam dla ciebie pięknem, a nie dobrem, a skoro się jedno z drugim rozłącza, pożytek istnieć przestaje. Nie rozumiałaś mej treści i istoty. Miałam ci być tylko pięknem nęcącym widzeniem, a nie probierzem czynów i życia drogowskazem. Dlatego kamyki gradem — (sypie kamyeczki) — posypały się na szalę zła i niegodziwości, popędliwości i złości, niesumiennej pracy, szorstkości, grzesznych myśli, złych słów, zbyt ostrego sądu, obmowy i nadmiernych wymagań. Patrz, jak szala nieliczne kwiaty cnót przeważała. Lecz pociesz się młoda duszo, wiele kwiatów jeszcze przybyć może, zależy to od woli twojej. Ciesz się, że niema tu kamieni świadomej złej woli i zbrodni. Dla przestrogi zostawię ci jeden z kamieni wad twoich, aby ci przypominał, że wiele ich na szali sprawiedliwości czeka w pierw zrównoważenia z kwiatami, a potem ich przeważenia. Pamiętaj, iż błogosławieni, którzy sprawiedliwością żyją, albowiem sprawiedliwość wybawi ich w dzień sądu. — (Schodzi ze stopnia, położywszy kamyk przed Werą, zabiera koszyk

i wagę, tak, jak weszła, wychodzi bez szelestu. Słychać cichą muzykę).

Scena 3.

J ó z i a — (przeciera oczy): — Sen, czy cudowne widzenie mnie nawiedziło? — (Wstaje). — Przecież nie spałam, zamknęłam tylko oczy na chwilę i złota zjawa uraczyła mą duszę. Złudzenie było tak piękne, że musiał to być sen, gdyż rzeczywistością być to nie mogło. — (Budzi Werę szarpiąc ją za ramię): — Werciu, droga Werciu, zbudź się i powiedz, śnię ja, czy też nie śnię?

W e r a — (zrywając się): — Kto tu był i co mówił? Pot kroplami zrosił me czoło. Strach, co przeżyłam.

J ó z i a: — Tyś chora może, czego się lękasz?

W e r a — (sposrzedłszy kamień): — Ach, to prawda, kamień został na dowód, że ta — piękna, a groźna — zjawa tu była.

J ó z i a: — Tyś także widziała?

W e r a: — Ty także?

J ó z i a: — Piękna była i biała, z przepaską złotą na czole.

W e r a: — Z różami przysła i wagą.

J ó z i a: — Z zielenią i kamykami.

W e r a — (zobaczywszy po drugiej stronie stołu różę): — I różę ci pozostawiła, a mnie nieszczęśliwej kamień.

J ó z i a — (biorąc różę do rąk): — O radości! Róża, różyczka kochana! — (całuje ją, potem wacha): — Ach, jak przewonna! Będę ci wier-

151

940733

na różyczko droga, bo szalę dobra przeważysz.
W e r a — (patrzac na kamień) : — Będę się strze-
gła dać ci towarzyszy! — (pokazuje go Józci na
dłoni) : — Wiesz, co to znaczy?

J ó z i a : — Wiem.

W e r a : — Nie mów nic, słyszałaś, co do mnie
mówiono?

J ó z i a : — Nie.

W e r a : — To dobrze! Słyszałaś jaką mowę?

J ó z i a : — Tak piękną jak rajska muzykę.

W e r a : — Szczęśliwszaś niż ja, bo róża cnót ci
siostrą, a mnie kamyk bratem.

J ó z i a : — Nie smuć się, piękno trzeba z dobrem
łączyć. Jestem twoją siostrą, kamyk nie może
być twym bratem.

W e r a : — Przestanie nim być gdy róże cnót za-
kwitną.

J ó z i a : — W ogrodzie serca gorącego prędko
dojrzewają.

W e r a : — Moje serce musi się od twego ciepłem
przejąć, aby wypiełgnować różę cnót wielu.

J ó z i a — (wesoło) : — Wiesz Werciu, obie mo-
żemy zaraz zyskać po różyczce.

W e r a : — Jakim sposobem?

J ó z i a : — Udajmy się na spoczynek, jak mama
kazała, zanim wszyscy wrócą z teatru, a obie
zyskamy po różyczce cnoty posłuszeństwa, o
którą u nas młodych tak bardzo trudno.

W e r a : — Masz słuszność, śpieszmy na spoczy-
nek, aby na szali zła nie zaciężyły kamyki.

Zasłona spada.

KONIEC.

Biblioteka Główna UMK



300043342404

